

Magnum Opus

[Slice of Life]

autor: Malvagio

Tesoro spoglądał przez okno pół-zamkniętej taksówki z odmalowaną na pysku melancholią. Nie miał wątpliwości, że za stan jego samopoczucia w dużej mierze odpowiadał krajobraz – choć ciągnięty przez woźnicę pojazd nie poruszał się wystarczająco szybko, otoczenie i tak przypominało smutną, jednolitą, burą plamę. Szare niebo rodziło szary śnieg opadający na szare budynki i ulice, po których krążyły kuce... w szarych, bo jakże by inaczej, zimowych płaszczach.

Stalliongrad sprawiał wrażenie przynębiającego nie tylko na pierwszy, ale też drugi, trzeci, a może nawet i czwarty rzut oka.

Ogier skrzywił się, obnażając mimowolnie zęby, po czym powoli pokręcił głową, kopytem odszukując zawieszony na szyi niewielki kryształ, podarunek od matki. Do tego ponurego miasta przybył wiedziony zarówno jej radą, jak i pragnieniem choć dorównania jej na płaszczyźnie Sztuki. Był tancerzem, głodnym wiedzy oraz szlifów swego talentu; podług opowieści, miał je odszukać właśnie tutaj. Choć naprawdę wydawało się to niewiarygodne, Stalliongrad stanowił kolebkę najwspanialszych equestriańskich mistrzów tanecznych.

Po mieście o takim dziedzictwie spodziewał się jednak czegoś zupełnie innego. Bardziej kolorowego, radosnego... po prostu żywego. Atmosfera panująca pośród szarości była jednak duszna, niczym trująca mgła. W niczym nie przypominała tej, którą pamiętał z domu, także słynącego z licznych artystów.

Z rozmyślań wyrwał go głos woźnicy, zapewne tak samo znudzonego jednostajnym krajobrazem.

– Jeśli można, kogo macie nadzieję spotkać, szefie? – spytał z nieskrywaną ciekawością. – Naprawdę wiele ważnych osobistości ma daczę pod miastem... co elita, to elita.

– Sì – przyznał Tesoro, pozostawiając naszyjnik w spokoju. – O uszy obito mi się, że jedną z nich zamieszkuje *gran maestro* parkietu, żywa legenda... która może zechce podzielić się ze mną choć częstką swej wiedzy. – Uśmiechnął się, choć zwrócony do niego zadem rozmówca w żaden sposób nie mógł zauważyć tego gestu.

– Planujecie pewnie zostać u nas aż do Festiwalu?

– *Ma certo*, oczywiście – znów zgodził się tancerz. – To drugi powód, dla którego przyjechałem do Stalliongradu... – dodał; w ostatnim słowie wybrzmiała pojedyncza nuta wahania. Wzrok skierował ponownie na szary krajobraz. – Zostały dwa miesiące, *vero*? Miasto wkrótce pewnie przejdzie prawdziwą metamorfozę?

Woźnica milczał przez chwilę, zabierając głos dopiero, gdy Tesoro godził się już z brakiem odpowiedzi na swoje pytania.

– Przepraszam, szefie, nie rozumiem.

– Zatem nieważne. – Tancerz westchnął ciężko i oparł głowę na kopycie; tonem głosu ucinając dalszą rozmowę.

Wyglądało na to, że nawet podczas wielkiego święta atmosfera miasta nie ulegnie zmianie. Miał nadzieję, iż nie odbije się to na jego samopoczuciu w stopniu utrudniającym występy. Nie tylko ten, który zamierzał zaprezentować podczas Festiwalu, ale także dzisiejszy, zaplanowany na wieczór. Wiedział, że w tym przypadku wiele będzie zależeć od wyniku jego spotkania z *maestro*. Czy zgodzi się go szkolić? Z tego, co słyszał, mistrz przeszedł na emeryturę już wiele lat temu i żył jak pustelnik. Nie przyjmował żadnych uczniów.

Na lazurowym pysku Tesoro zagościł śmiały, niemal arogancki uśmieszek. Cóż, nie zamierzał składać broni bez walki. Z dość dużą dozą pewności mógł stwierdzić, że wyróżniał się na tle innych adeptów poszukujących mentora. Przy odrobinie szczęścia sama ciekawość płynąca z jego... egzotyki... mogła wystarczyć, by zachęcić *maestro* do powrotu z wygnania.

Ogier przycisnął mocno do piersi swój kryształ i przymknął powieki. Poczuł rozlewające się po ciele przyjemne ciepło.

„Będziesz ze mnie dumna, mamó” – pomyślał, układając się wygodniej na siedzisku.

Woźnica nie odzywał się więcej, a jako że sam Tesoro nie kwapił się do kontynuowania rozmowy, taksówka zmierzała do swego celu we względnej ciszy. Po jakimś czasie szare ulice ustąpiły pola zdecydowanie bielszym, ośnieżonym błoniom. Otwarta przestrzeń, ograniczana nieco jedynie przez szpalery drzew, posadzonych po obu stronach wijącej się drogi, niosła ze sobą powietrze w więcej niż tylko dosłownym sensie. Latem okolica musiała prezentować się jeszcze piękniej, ale nawet zimową porą zrozumiałe było, dlaczego tak wielu wpływowych mieszkańców Stalliongradu budowało w okolicy daczę.

Mniejsze lub większe, lecz wszystkie wysmakowane, domki odróżniały się od miejskich zabudowań w tak wielkim stopniu, iż można je było uznać za zupełnie osobne miasteczko. Tesoro zwrócił się do taksówkarza z prośbą, by zatrzymał się na niewielkim rynečku. Po wyjściu z pojazdu nie zwlekał i od razu rozpostarł szeroko zdrętwiałe skrzydła.

– *Mmmolto bene...* – mruknął, przekrzywiając jeszcze głowę, by strzyknąć karkiem. Po chwili ponownie zwrócił się do woźnicy, przekazując mu zapłatę. – Jeśli można, nie odjeżdżajcie, *prego*. Nie sądzę, by sprawa zajęła mi wiele czasu.

Przewoźnik podrapał się po policzku.

– Spróbuję, szefie.

– *Grazie* – odparł Tesoro, kłaniając się teatralnie, a następnie obracając w miejscu z, *nomen omen*, gracją.

Nie mógł sobie odmówić tej niewielkiej przyjemności. Ku swojemu ubolewaniu szybko musiał jednak zrezygnować z artystycznych popisów – ośnieżona powierzchnia była śliska, a nie chciał ryzykować choćby i drobnej kontuzji. Do

siedziby *maestro* ruszył więc drogą powietrzną, szybując nad twardniejącym w lód białym puchem.

Jako że niby-miasteczko nie należało do szczególnie wielkich, podróż do właściwych drzwi nie zajęła mu wiele czasu. Położona na niedużym wzniesieniu dacza emerytowanego mistrza z zewnątrz wyróżniała się na tle innych swoimi rozmiarami; przypominała niewielki, nieco zaniedbany, dworek. Zastony we wszystkich oknach zaciągnięto, ale podwórze nosiło ślady świeżego odśnieżania. Sugerowało to, że posesją ktoś się zajmował. Tesoro uznał to za dobrą monetę – świat zewnętrzny miał jednak jakiś dostęp do starca.

A skoro droga istniała, zamierzał ją wykorzystać.

Dźwięk, jaki przy uderzeniu wydała kołatka, rozbrzmiał głucho, ale z mocą. Ogier zastrzygł uszami, chciwie starając się złowić choć najdrobniejszy szmer... który jednak nie nadchodził. Dacza sprawiała wrażenie opuszczonej.

Tesoro zakołatał raz jeszcze. Napięcie wydłużało sekundy do przypominających tortury minut... ale w końcu z wnętrza domostwa dobiegł odzew. Padły jakieś ciche, niezrozumiałe słowa, które jednak z całą pewnością nie zostały wypowiedziane starczym głosem, a po jeszcze paru chwilach drzwi otworzyły się.

W progu stała śnieżnobiała klacz o koralowej grzywie. Na jej pyszczku przez chwilę gościł przepaszający uśmiech, który szybko uległ metamorfozie w wyraz zaskoczenia. Zaciekawione spojrzenie, niemal przykute do skrzydeł ogiera, nie pozostawiało wątpliwości co do przyczyny tej zmiany.

– Podobają się wam, *signorina*? – zagaił wesoło tancerz, przełamując wydłużającą się ciszę.

– Nie, nie... to znaczy tak! To znaczy... – Klacz splonęła rumieńcem, po czym wzięła głęboki oddech, zamykając na chwilę powieki. – Przepraszam, to nie było grzeczne. W Stalliongradzie po prostu rzadko spotyka się nietoperzowe kuce. – Odchrząknęła. – W czym mogę panu pomóc, panie...?

– Tesoro. – Ogier uklonił się nisko, po wyprostowaniu zaś uśmiechnął szeroko, przezornie nie na tyle, by odsłonić kły. – Przebyłem długą drogę, aby prosić *maestro* Karamazowa o przyjęcie mnie na ucznia.

W reakcji na tę deklarację koralowogrzywa uciekła wzrokiem gdzieś na bok; zanim zdecydowała się przemówić, musiała upłynąć chwila, spędzona na nerwowym przestępowaniu z nogi na nogę.

– Przykro mi, obawiam się, że odbył pan podróż nadaremno. Dziadek... stroni od innych, *zwłaszcza* tancerzy. – Westchnęła, po czym podniosła wzrok, by spojrzeć nietoperzowemu kucowi w oczy. – Ale nie będę odprawiać pana sprzed drzwi. Proszę spróbować, zapraszam... – dodała, usuwając się z przejścia.

Ostatnie słowa zaskoczyły ogiera, szykującego się już do przekonywania uroczej (jak nie mógł nie zauważyć) odźwiernej, aby dała mu szansę. Uśmiechnął się więc jedynie i podążył za nią do środka.

Wnętrze daczy tonęło w półmroku; przy zaciągniętych zastłonach jedynymi źródłami światła były porozstawiane tu i ówdzie lampy. Tesoro wzdrygnął się, choć

jako nietoperzowy kuc doskonale widział w ciemności i nie lękał się jej. Nie potrafił pozbyć się jednak wrażenia, że wkracza nie do mieszkania, a ciemnego grobowca. Odczucie to potęgowała jeszcze panująca wewnątrz duchota oraz – nieco paradoksalnie – zdobiące ściany zdjęcia i obrazy przedstawiające zadziornie uśmiechniętego jednorożca w sile wieku występującego na scenie; bez wątpienia Karamazowa u szczytu chwały, teraz już minionej.

Klacz najwyraźniej zorientowała się, że wzrok ogiera błądzi po malowidłach, przystanęła bowiem i sama spojrzała na jedno z nich.

– Dziadek kiedyś był szczęśliwy... tak dawno, że wydaje się to teraz ledwie snem. Chciałabym jednak, aby te czasy wróciły – umilkła na chwilę. – Dlatego pana wpuściłam.

– Zrobię, co w mojej mocy, *signorina* – zapewnił Tesoro, podchodząc o krok.

– Dziękuję. – Głos koralowogrzywej zdradzał znużenie; nie powiedziała już nic więcej, lecz ruszyła przed siebie.

Para trafiła w końcu do przestronnego salonu, lepiej oświetlonego od reszty daczki dzięki buzującym w kominku płomieniom. W pierwszej chwili ogierowi zdawało się, że pokój jest pusty, dopiero w następnej spostrzegł, że w jednym z ciemnych kątów pomieszczenia, do którego blask niemal nie docierał, ustawiony został fotel z wysokim oparciem. Zwrócony był ku ciemnej ścianie, jakby jego właściciel nie mógł ścierpieć ognia... i rzuconych przez niego rozedrganych, tańczących cieni.

– Dziadku, masz gościa – przemówiła nieśmiało klacz, zbliżając się do siedziska. – Proszę, daj mu szansę.

– Co ci mówiłem o wpuszczaniu ich, Irino? Posłuszeństwa za grosz... – z ciemności dobiegł suchy, mocny głos kogoś, kto nie znosi sprzeciwu. – Kimkolwiek jesteś, precz. Wiem, po coś przyszedł, nie będę cię szkolić.

Nietoperzowy ogier przysunął się bliżej, stając niemal na granicy światła i ciemności. Jego kryształ na ułamek sekundy rozświecił się mocniej, jakby świadom symboliki, jaka mimowolnie stała się udziałem zebranych w pomieszczeniu kuców.

– *Signor* Karamazow, zapewniam pana, że nie jestem jak inni. Nie jestem żebrakiem, sępem bez własnego talentu, a rojącym sobie jedynie, że niczym *parassita* może wyssać go z pana. Imię moje Tesoro, przybyłem aż z Kryształowego Królestwa, by ponieść pański *fiamma* dalej, aby... nie skończył w mroku.

Na długą chwilę zapadła cisza, przerwana wreszcie przez głośnie zaczerpnięcie powietrza przez Irinę, gdy jej dziadek dźwignął się z fotela i – posiłkując się trzymaną telekinezą skręconą, hebanową laską – stanął naprzeciwko drugiego ogiera, patrząc mu prosto w oczy. Spojrzenie starca zionęło chłodem, wręcz lodowatym płomieniem.

– A może ja właśnie tego pragnę – syknął, uderzając kosturem o podłogę. – Choćbyś przyszedł z samego Tartaru, nie zmienię zdania. Precz.

Tesoro zawahał się; słyszał wieści o tym, że Karamazow odszedł na emeryturę, nikt jednak nie poinformował go, że stało się to w wyniku kontuzji – a to

właśnie sugerowała dzierzona przez jednorożca laska. Czyżby nikt o tym nie wiedział? A może postanowiono to przed nim zataić? Musiał zmienić podejście.

– *Signor*, wiem, jak musi się pan czuć... – urwał w pół słowa pod wpływem gniewnego prychnięcia ze strony starca.

– Ty nie wiesz *niczego*, chłopcze. Jesteś taki sam jak inni, którzy *roją sobie* – z nieskrywaną złośliwością przywołał słowa nietoperzowego kuca przeciw niemu – że wiedzą. Ale żaden z was *nie ma pojęcia*. – Umilkł na chwilę, oddychając ciężko. – Nie będę powtarzał kolejny raz, wynoś się. Irina, wyprowadź „gościa” – rzucił, opadając z powrotem na fotel.

– Lepiej będzie, jeśli pan pójdzie... – szepnęła klacz, delikatnie popychając Tesoro w kierunku drzwi. – Przykro mi.

Gdy znaleźli się na korytarzu, nietoperzowy ogier westchnął i pogłodził brodę skrzydłem. Karamazow pozwolił, by pochłonał go mrok... uważał, że nie było to sprawiedliwe, *maestro* należało pomóc. Sprawić, by odegnał rozpacz i na nowo dojrzał blask niesiony przez taniec. Czuł, że mógłby tego dokonać; jako mieszkaniec Kryształowego Królestwa oraz syn swojej matki, wiedział to i owo w temacie emocjonalnych spektrów światła i ciemności.

– *No*, to mnie jest przykro, *signorina* – odparł. – Nie zdawałem sobie sprawy...

– Nic w tym dziwnego, wszyscy, którzy wiedzą, z szacunku dla dziadka milczą. Dlatego zdziwiłam się, że się panu *pokazał*, nie pamiętam, by kiedykolwiek wcześniej to robił.

– Być może rozpałilem w nim isierkę dawnego płomienia, jeszcze jest nadzieja. – Tesoro uśmiechnął się pocieszająco. – Chciałbym pomóc. Dziś wieczorem występuję w Bolszoju, może...

– Nie przyjdzie, jestem pewna. – Irina pokręciła głową ze smutkiem, po czym spłonęła rumieńcem, gdy ogier ujął jej nogę i pocałował tuż nad kopytem.

– Niech *signorina* przybędzie sama, a potem wszystko mu przekaże. Może to wystarczy, by rozniecić w nim kolejną isierkę. Ja zaś będę zaszczycony.

– Nie mogę niczego obiecać. Ale postaram się. – Klacz odwzajemniła uśmiech ogiera.

– Zatem *arrivederci*, *signorina* Irina. – Tesoro uklonił się nisko i, jako że podczas rozmowy dotarł wraz z rozmówczynią do wyjścia, opuścił daczę.

Drzwi zamknęły się za nim, znów przywołując niemiłą wizję grobowca, ale ogier nie upadał na duchu. Wciąż istniała szansa, a sprawa nie dotyczyła już tylko jego ambicji. Pokrzepiony tą myślą, ruszył ku postojowi taksówek, pogwizdując melodię taranteli.

Tańczył, odcięty od świata barierą opuszczonych powiek. Nie potrzebował wzroku, by stawiać właściwe kroki, prowadził go instynkt. Czuł pod kopytami parkiet, przed sobą zaś płynne, miękkie linie, wyznaczające właściwą trasę ruchu. Kopyto,

raz i dwa, zwrot i znów, teraz na dwóch jedynie, rozłożyć skrzydła... i trzy, cztery, wzlot i lot, lądowanie o metr dalej, ciało w łuk, i raz, dwa, jeszcze raz...

Tesoro oddychał miarowo, czułymi uszami, prócz muzyki, łowiąc także niemal nabożną ciszę, jaka niosła się z widowni. Cieszyła go; czyż nie wcielał się bowiem tak naprawdę w kapłana odprawiającego jeden z najstarszych rytuałów? Taniec był czymś więcej, niż tylko rozrywką, a przynajmniej tak uważali mieszkańcy Kryształowego Królestwa.

Stanowił adorację samego Życia.

Ogier wykonał ostatnie kroki i dopełnił obrzędu, pieczętując go ukłonem. Pozwolił, by energia, którą wkładał w swój występ, wezbrała i powróciła do niego pod postacią burzy oklasków. Otworzył oczy i uśmiechnął się, raz jeszcze wyginając ciało ku ziemi.

Wśród zgromadzonych dostrzegł Irinę. Po zakończeniu ostatnich formalności związanych z występem zamierzał ją odszukać, ale ostatecznie to klacz sama odnalazła go w garderobie. W Bolszoju dla wnuczki Karamazowa nie istniały najwyraźniej zamknięte drzwi.

– Niezwykłe – stwierdziła krótko, zajmując wskazane siedzisko. W jej spojrzeniu tańczyły radosne iskierki. – Żałuję, że dziadek jest taki uparty. Wiem, że również byłby poruszony.

– Mogę więc liczyć na waszą pomoc, *signorina*? – Tesoro przyłożył jedno ze skrzydeł do piersi, drugim wskazując klacz.

Irina przytaknęła, a na jej pyszczku pojawił się szelmowski uśmieszek.

– Oczywiście. Dziadek nasłucha się wiele o... „Kryształowym Księciu”. – Zachichotała, przysłaniając usta kopytkiem. – Jeśli mogę spytać, skąd pomysł na taki pseudonim? Wydaje się nieco arogancki.

Ogier przez chwilę zwlekał z odpowiedzią, rozważając, ile może, a ile powinien powiedzieć, po czym zawtórował rozmówczyni w śmiechu.

– Jeśli *signorina* pozwoli, na razie pozostawię tę kwestię jako *mio segreto*... – odparł tajemniczo. – A odrobina buty jeszcze nie musi być przywarą. Bywa nawet przydatna.

Ku zdziwieniu nietoperzowego kuca, w reakcji na te słowa Irina wyraźnie zmarkotniała.

– Dziadek zwykł mawiać podobnie przed swoim wypadkiem – stwierdziła ze smutkiem. – Choć nie wiem, czy w jego przypadku buta zamykała się w „odrobinie”. To, czego chciał dokonać... – zaczęła, ale umilkła nagle, uciekając spojrzeniem na bok. – Nie ja powinnam o tym opowiadać.

Tesoro zbliżył się do klaczy i ujął jej kopyto – nie cofnęła go – przykrywając je skrzydłem. Nie postrzegał siebie jako klaczarza, ale Irina... chyba wpadła mu w oko. Przynajmniej na tyle, by wolał, aby na jej obliczu gościł nie smutek, lecz radość.

Zamierzał dopilnować tej zmiany.

– *Mi scusa* – powiedział skruszony. – Czy w ramach przeprosin i pocieszenia mogę zaoferować wspólny, pozbawiony arogancji taniec? Nic tak nie odpędza trosk. – Uśmiechnął się łagodnie.

– Ze mną? – Propozycja wyraźnie zaskoczyła koralowogrzywą. – Schlebia mi pan, naprawdę, ale nie, ja... ja nie tańczę, przepraszam. – Widząc zdumienie, jakie niemal eksplodowało w spojrzeniu Tesoro, dodała: – Taniec to poważna sprawa, a ja nie jestem dość dobra. Mam cztery lewe nogi, dziadek tak zawyrokował...

Ogier ugryzł się w język, zanim zdążył wyrazić na głos pierwszą, niezwykle niepochlebną wobec Karamazowa myśl, jaka mu przyszła do głowy. Odchrząknął, po czym raz jeszcze się uśmiechnął, cieplej nawet, niż uprzednio.

– Ależ to nonsens, *signorina*, udowodnię to! Proszę mi zaufać – powiedział z przekonaniem, wkładając wysiłek, aby spłynęło ono również na klacz.

– Jest pan bardzo pewny siebie – odparła Irina, rozjaśniając nieco swoje oblicze i podnosząc się z siedziska. – No dobrze, ale obawiam się... – Nie dokończyła, powstrzymana gestem ogiera.

– Błąd! Umysł w tańcu winien być lekki, nieobciążony podobnymi troskami. – Po tych słowach ostrożnie wyciągnął Irinę na środek pomieszczenia; garderoba musiała wystarczyć, jako że nie mieli już dostępu do sceny.

Zaczęli stawiać pierwsze kroki, on z pasją, ona nieśmiało i ostrożnie.

– Taniec jest poważny, *sì*, ale nie wolno zapominać, że przede wszystkim to *felicità* – kontynuował. – Proszę się więc nie przejmować, *signorina* i cieszyć się ruchem...

Nie wiedział, jak długo tańczyli, ale zanim przyszedł czas pożegnania, pokazał Irinie, że wcale nie wszystkie nogi ma lewe.

Tydzień później Tesoro znów kołatał do dachy Karamazowa, tym razem wezwany przez samego *maestro*... oczywiście za pośrednictwem Iriny. Znów został przez nią doprowadzony przed jego oblicze, tym razem przy akompaniamencie pełnych nadziei szeptów, jako że obrane metody przynosiły wyraźny skutek.

Sam starzec, zasiadający posępnie w fotelu, nie zmienił się jednak ani o jotę.

– Irina nie przestaje o tobie mówić, chłopcze – obwieścił sykliwie. – Los poskąpił jej talentu... – klacz spuściła wzrok, a Tesoro zacisnął mocniej usta – ma jednak dobre oko. Docierają do mnie też wieści z miasta, jesteś ponoć... drugim *mną* – w głosie Karamazowa rozbrzmiała gorzkość, wykrzywiała mu pysk w nieprzyjemnym grymasie.

Nietoperzowy ogier milczał, z trudem powstrzymując jedną z nóg od nerwowego stukania o posadzkę. Wiedział, że *maestro*, spoglądający teraz na niego przymrużonymi oczyma, na pewno nie wezwał go jedynie po to, by przekazać taką wiadomość. Odwzajemnił spojrzenie, wyczuwając w nim wyzwanie.

Cichy pojedynek toczył się przez niemal minutę, ale ostatecznie Karamazow przemówił ponownie. Zgryźliwie.

– Dam ci jedną szansę. Nie wykorzystasz jej, oczywiście, ale ją otrzymasz.

– O nic więcej nie proszę, *signor* – odparł Tesoro, przy okazji uśmiechu drapieżnie obnażając kły.

Starzec wymamrotał coś niezrozumiałego, po czym nakazał wnucze przesunąć meble. Nietoperzowy kuc oczywiście udzielił jej pomocy, nie napotykając sprzeciwu ze strony jednorożca. Nie minęło więcej niż kilka minut, gdy środek pokoju zmienił się w prowizoryczną, niewielką scenę. Karamazow, nie wstając, obrócił wówczas swój fotel za pomocą magii, co wyraźnie kosztowało go wiele wysiłku.

W ten sposób Tesoro podczas występu miał znaleźć się idealnie pomiędzy ogniem a starcem, który utracił swój płomień.

„Jeśli mam być pomostem, niech tak będzie” – pomyślał, biorąc głęboki wdech.

W tej samej chwili Karamazow prychnął i zapadł się głębiej w siedzisku.

– Pokaż, co potrafisz. Zaprezentuj mi to samo, co w Bolszoju. Ufam, że scena nie jest zbyt mała? – zakpił. – Jeśliś naprawdę *drugim mną*, nie będzie to dla ciebie problemem. Nuże, zaczynaj!

Tesoro głośno wypuścił powietrze przez nos. Drwina *maestro* była celna, powtórzenie choreografii z poprzedniego występu na tak ograniczonej przestrzeni... Nie nazwałby tego wyczynu niewykonalnym, ale z pewnością o wiele trudniejszym. Karamazow w swej rozgoryczonej złośliwości nie zamierzał mu niczego ułatwiać.

Ale też nie prosił o żadną taryfę ulgową, prawda?

– Taniec ten dedykuję Sztuce – szepnął, trącając kopytem zawieszony na szyi kryształ i budząc uśpioną w jego wnętrzu melodię.

Tym razem nie zamykał oczu, przynajmniej nie od razu, aby zachować mocniejszą świadomość otoczenia. Stawiał kolejne kroki, podążając za znanymi sobie liniami, ale nie był z nich do końca zadowolony – tłumione przez przestrzeń nie mogły wybrzmieć z odpowiednią mocą; czuł to.

Uśmiechający się sardonicznie Karamazow musiał o tym wiedzieć. Zapewne szykował się już do przerwania występu ostrym słowem, lecz Tesoro nie zamierzał mu na to pozwolić. Postawił wszystko na jedną kartę, ekstensywność ekspresji zastępując jej intensywnością. Kopyta zaczęły opadać na parkiet z mocą wywołującą drżenie płomieni. Brak miejsca otworzył wrota dla narastającego tempa. Tańczył coraz szybciej, ekstatycznie, nie widząc już reakcji *maestro*...

Ostatni krok wyzwolił z jego kryształu, a może samej piersi, niewielką eksplozję blasku, która na sekundę rozjaśniła pokój. Nietoperzowy ogier zdołał się jeszcze uklonić, zanim drżące nogi odmówiły mu posłuszeństwa i zmusiły do przysiadu. Na jego pysku zagościł triumfalny uśmiech; wiedział, że występem poruszył nie tylko Irinę, ale też samego Karamazowa.

Starzec wpatrywał się w niego z otwartymi ustami, wyraźnie zszokowany. Płomień w jego spojrzeniu uległ zmianie, nie ział już chłodem, lecz rozbudzoną pasją.

– Przesłodka Celestio... naprawdę możesz mieć szansę... – wymamrotał, po czym wstał z trudem i pokuśtykał do biurka. Z otwartej kluczykiem szuflady wyciągnął jakiś pergamin i rozłożył go na blacie. – Pozwól no tutaj, chłopcze.

Tesoro, wsparty przez Irinę, wypełnił to polecenie. Jedno spojrzenie na skarb starca wystarczyło, by zaprzeć mu w piersiach dech. Od razu rozpoznał prawdziwie Wielkie Dzieło.

– To moje *magnum opus*, choreografia, która kosztowała mnie wszystko – wyjaśnił Karamazow, a w jego głosie znów rozbrzmiała gorycz, nieco jedynie łagodzona przez podszyty ekscytacją uśmieszek. – Jeśli wciąż chcesz, abym cię szkolił... opanujesz ją i zatańczysz na Festiwalu.

Młody tancerz poczuł wzbierającą w nim gorączkę. Kiwnął głową na znak zgody.

Czas dzielący Tesoro od wielkiego Festiwalu upływał mu na wręcz morderczym treningu. Taniec, który próbował opanować, zdecydowanie przerastał wszystkie inne pod kątem stopnia trudności, ale też sam *gran maestro* był bezlitosnym mentorem. Perfekcjonistą, którego nie sposób w pełni zadowolić; nietoperzowy ogier raz po raz musiał wysłuchiwać całych tyrad, gdy w oczach starca niewystarczająco dobrze wykonał drobny, nawet niedostrzegalny dla publiki ruch.

Zastanawiał się, jak pomimo tego wszystkiego udawało mu się znajdować odrobinę czasu na spotkania z Iriną. Sam nie wiedział, czy mógłby określać je mianem randek, ale z całą pewnością oboje znajdowali w nich przyjemność. Poza poradami, jakich udzielał jej w kwestii tańca, wiele też rozmawiali, również na temat Karamazowa. Klacz przekazywała mu wszelkie informacje, których nie był w stanie zdobyć samodzielnie podczas treningów z *maestro*.

– Myślę, że wszystko idzie ku dobremu – szepnęła mu pewnego razu na ucho, gdy szkolił ją w walcu. – Dziadek znów ma w sobie energię i pracuje nad czymś wieczorami. Cokolwiek robi, czuję, że znowu żyje. Wymienił nawet tę swoją posępną laskę na inną!

Tesoro zwrócił na to uwagę podczas następnej lekcji i przekonał się, że klacz miała rację. Starzec wspierał się teraz na prostym kosturku z jaśniejszego drewna; wydawało mu się nawet, że Karamazow polega na nim w mniejszym stopniu niż dotychczas.

Razy, jakie otrzymał na głowę za rozpraszanie się, bolały jednak młodego tancerza tak samo jak wcześniej.

– Skoncentruj się! – prychnął gniewnie *maestro*. – Niewiele czasu nam zostało. Ale jeśli wszystko pójdzie dobrze, już na zawsze zapiszemy się w historii, chłopcze – dodał łagodniej, uśmiechając się do własnych myśli.

Ta wizja szczególnie mocno trafiała do serca nietoperzowego ogiera, ćwiczył więc dalej, wyciskając z siebie siódme poty. Miał tylko nadzieję, że gdy nastanie

dzień Festiwalu, będzie w ogóle w stanie się ruszać, nie wspominając już nawet o zaprezentowaniu skomplikowanego układu.

Czuł, że kryło się w nim coś wyjątkowego. Wielkiego. Coś, czego – pomimo swoich wysiłków – nie był jeszcze w stanie wyzwolić. *Jeszcze*. Intuicja oraz niejasne sugestie Karamazowa podpowiadały mu, że prawdziwa moc drzemiąca w jego wnętrzu zostanie uwolniona tylko, gdy nastaną odpowiednie okoliczności.

Już niedługo miał się przekonać, czy przypuszczenia te były słuszne.

Spędzone na wytężonej pracy dwa miesiące minęły szybko i w końcu nadeszła oczekiwana przez wszystkich chwila. Na Festiwal, mający się odbyć w ogromnym gmachu Bolszoju, zjechali wszyscy najbardziej uznani tancerze. Tesoro z zadowoleniem rozmyślał o doborowym towarzystwie, w jakim się znalazł... i jakie zamierzał wprowadzić w zdumienie. Z mniejszą radością przyjmował natomiast potwierdzenie wcześniejszych przypuszczeń – sam Stalliongrad wydawał się tak samo szary i pozbawiony życia, jak każdego powszedniego dnia.

Przygotowujący się do swego występu ogier był pewien, że jeśli zmiana takiego stanu rzeczy mogła nastąpić, leżała już tylko w kopytach (i nie tylko) samych tancerzy.

Festiwal podzielono na dwie części; pierwszą z nich stanowić miały tańce „wolne”, lecz nie w znaczeniu tempa, a swobody przyznawanej artystom. To właśnie w jej trakcie mogli niezobowiązująco zaprezentować swój kunszt w sposób, jaki uznają za stosowny, aby rozbudzić zainteresowanie widowni... a także pokazać konkurentom, czego mogą się po nich spodziewać w części drugiej. Ta, przez wielu uważana za właściwą, była już prawdziwym turniejem, mającym wyłonić tanecznych mistrzów.

Ku początkowemu bezbrzeżnemu zdumieniu Tesoro, Karamazow naciskał, aby zaprezentował jego dzieło w trakcie części pokazowej. Ostatecznie zaakceptował jednak argumentację podkreślającą, że choreografia ta czekała już zbyt długo na szansę zaistnienia. *Pragnęła*, aby ją zatańczono i to jak najszybciej, niemądrze więc byłoby ją tłumić i dusić w sobie.

„Wytrzymaj jeszcze tylko chwilę...” – pomyślał młody ogier, niczym zamknięty w klatce tygrys krążąc za kulisami głównej sceny.

Para manehattańskich tancerzy, pegaz i jednorożka, zakończyła swój płomienny występ, wymijając go bez słowa. W tej samej chwili rozległ się głos konferansjera:

– Panie i panowie, przed wami kolejna gwiazda, Kryształowy Książę Tesoro z... cóż, Kryształowego Królestwa! Powitajcie go brawami!

Nietoperzowy ogier wziął głęboki wdech i śmiało wkroczył na scenę, po czym spojrzał na skrytą w mroku oklaskującą go widownię. Wzrok przystosowany do ciemności pozwolił mu odszukać Irinę oraz Karamazowa, a także niewielką delegację z ojczyzny. Uśmiechnął się dumnie, dostrzegając ojca w galowym mundurze; choć wśród przybyłych brakowało matki, wiedział, że nie mogła stawić się osobiście wyłącznie z powodu obowiązków.

Przez swój kryształ czuł jednak wyraźnie, że była obecna duchem.

Odczekał chwilę, pozwalając widowni się wyciszyć, po czym – gdy skoncentrował na sobie pełnię uwagi – z kołatającym szaleńczo sercem rozpoczął swój taniec. Początkowe kroki na pierwszy rzut oka nie wyróżniały się niczym szczególnym, stanowiły przygrzywkę do tego, co miało nastąpić później. Widownia nie zdawała sobie jeszcze sprawy z energii, jaką Tesoro każdym kolejnym ruchem przywoływał i gromadził w sobie. Ładunek narastał aż do chwili, w której ogier uznał, że nie zdoła dłużej bezpiecznie go utrzymywać, że rozerwie on jego ciało i sam wydostanie się na zewnątrz...

Kryształowy Książę zamknął oczy i odbił się z mocą od parkietu, by wykonać w powietrzu ekwilibrystyczny piruet, wspomagając się przy tym skrzydłami. Gdy jego kopyta ponownie dotknęły desek, nikt nie mógł nie poczuć energetycznej fali, jaka została wówczas wyzwolona.

To był punkt kulminacyjny!

Raz, dwa, trzy... raz, dwa, trzy... cztery, pięć, dziesięć, dwadzieścia! Linie, jakie zawsze objawiały się nietoperzowemu kucowi podczas występów, teraz zdawały się płonąć żywym ogniem! Obrót, piruet i zwrot, szybciej, teraz wolniej, szybciej, szybciej! Ruchy Tesoro zdawały się coraz bardziej frenetyczne, dostosowywały się do tempa, jakie narzucało jego własne serce, niemal już wyrwijące się z klatki piersiowej! Taniec, wspaniałe *magnum opus* geniusza, był rytuałem wprost niebiańskim, lecz młody ogier tańczył niczym demon, co jakiś czas uderzając mocniej kopytem w określone punkty parkietu i powtarzając swoje ruchy wciąż i wciąż od nowa.

Lecz choć teatr wypełniał się trzeszczącą cicho energią, choć obserwująca wszystko widownia wstrzymała oddech, choć na scenę wkroczyli pozostali tancerze, jakby przyzwani niesamowitym występem... nie działo się nic więcej. A coś się stać powinno, wszyscy zdawali sobie z tego sprawę w mniejszym lub większym stopniu! Znaleźli się na granicy, jak przez mgłę widzieli coś niezwykłego kryjącego się za nią... ale pomimo wysiłków, Tesoro wciąż nie mógł jej przełamać!

– Posłuchajcie wszyscy! – rozległ się nad wyraz silny głos Karamazowa. – Wy, którzy przybyliście tworzyć i rywalizować! Posłuchajcie swych serc i wspomóżcie go! Kapłan potrzebuje akolitów!

Tancerze odpowiedzieli na wezwanie bez choćby słowa protestu. Jakże bowiem mieliby odmówić w obliczu tego, czego wszyscy byli świadkami? Choć żaden z nich nie widział wcześniej choreografii *maestro*, wszyscy *wiedzieli*, jakie kroki winni wykonywać, by dopełnić główną część rytuału. Energia wezbrała z nową siłą, objawiając się Tesoro pod postacią nowych świetlistych linii, tym razem bezpośrednio pod kopytami. Linii tworzących...

Sigil.

W tej samej chwili, gdy na ogiera spłynęło olśnienie, czas zwolnił swój bieg, niemal stając w miejscu. Pośrodku magicznego kręgu coś, nie, *ktoś* się pojawił – dwie widmowe sylwetki, rozciągające aurę szczęścia i radości, złączone w ruchu tak,

jakby były jednością. On i ona. Tancerz i Tancerka. Wszyscy spoglądali na nich z nabożnym zachwytem, całkowicie owładnięci ich pięknem. Wszyscy wiedzieli, kto zstąpił na scenę Bolszoju.

Idea obleczona w kształt. Taniec wcielony.

– *Santissimo Cuore...* – z trudem zdołał wyszeptać Tesoro, ściskając mocno swój kryształ. – *Che bellezza!*

– Czekałem na to tyle lat... – Kątem oka nietoperzowy kuc dostrzegł zbliżającego się do wirującej wesoło pary Karamazowa. – I wreszcie... wreszcie się udało...

W głowie młodego ogiera szalał prawdziwy huragan. Chciał zapytać *maestro* o jego geniusz, to, jak zdołał opracować tak wspaniały taniec... podziękować mu za możliwość jego realizacji, możliwość doświadczenia piękna...

Wówczas zorientował się, że coś jest nie tak.

Za późno spostrzegł, że uśmiech starca pozbawiony jest wesołości. Za późno spostrzegł posępność płomienia jego oczu. Za późno spostrzegł uniesiony do uderzenia czarny sztylet... który przeszył Tancerza i powalił na parkiet, odcinając go od jego partnerki.

Przez teatr przetoczył się wrzask bólu. Wszyscy artyści, w tym sam Tesoro, runęli na deski razem z widmową sylwetką, zupełnie jakby cios zadano każdemu z osobna.

W pewnym sensie... tak właśnie się stało, ale Karamazow nie skończył swego potwornego dzieła, zadawał ofierze kolejne pchnięcia.

– To powinienem być ja! Ja! JA! – krzyczał nienawistnie, zalewając się łzami. W końcu odrzucił swoje makabryczne narzędzie na bok i zarechotał gorzko, spoglądając na ucznia. – *Teraz rozumiesz, co czuję, chłopcze. Teraz wszyscy rozumiecie.*

Tesoro spojrział na porzuconą broń i spostrzegł, że nie wykonano jej z metalu, lecz drewna. Doskonale mu znanego czarnego, poskręcane go hebanu.

– Dlaczego...? – zdołał jedynie jęknąć.

W spojrzeniu Karamazowa kryło się coś strasznego. Miażdżąca wszystko swym uściskiem ciemność. Młody ogier pojął, że nigdy nie wygnał z jego serca mroku i gorzkości, że ogień, który wziął za pasję, był jedynie rozpalonym, gorączkowym szaleństwem.

– Oddałem tańcowi wszystko... i zostałem odtrącony – odparł grobowym, zrezygnowanym głosem starzec. – Niechaj więc nie będzie go więcej. Nie masz większej nienawiści nad tę, w którą przeobraziła się miłość, chłopcze. To moja ostatnia lekcja dla ciebie. – Po tych słowach odwrócił się, niemal zderzając z Iriną, która wbiegła na scenę z odmalowaną na pyszczku zgrozą.

– Dziadku, jak... jak mogłeś?!

– Moja droga, kocham cię, ale ktoś tak mało utalentowany tego nie zrozumie – prychnął Karamazow. – Wracamy do domu.

Klacz jedynie pokręciła stanowczo głową; jednorożec przygarbił się mocniej i pośród upiornej ciszy przerywanej jedynie stukotem jego laski opuścił teatr. Nikt go nie zatrzymał, zupełnie jakby bano się go choćby dotknąć.

Tesoro, dzięki pomocy Iriny, zdołał stanąć na nogach. Ból zelżał, stając się bardziej dyskomfortem, ale nie ustępował. Ogier spróbował wykonać kilka podstawowych kroków, lecz wychodziły mu one koślawo. Pozostali tancerze również borykali się z takim samym problemem. Zostali okaleczeni wraz z ucieleśnieniem swojej sztuki.

– Jak się czujesz? – spytała drżącym głosem Irina.

– Nie widzę linii... nie czuję więzi z ruchem... – odparł ogier. Spojrzał na lamentującą w ciszy Tancerkę; widok niemal rozrywał mu serce. – Leży tam, martwy, martwy... zabity przez gorycz...

– Zatańcz ze mną.

Tesoro spojrzał na Irinę zaskoczony, a wrażenie to jedynie pogłębiło się, gdy spostrzegł żelazną stanowczość malującą się na jej pyszczku. Westchnął ciężko.

– Iri... nie mogę...

Klacz uciszyła go, kładąc mu kopytko na ustach.

– Nonsens! Zatańcz ze mną, ciesz się ruchem... nawet jeśli nie będzie dobry... nie pozwól mu wygrać, *proszę*.

Ogier milczał przez chwilę, po czym niemal niedostrzegalnie przytaknął. Tańczył z Iriną, choć nogi nie chciały go słuchać jak kiedyś. Tańczył, aby się nie poddać. Tańczył... bo cóż innego mu pozostało?

A Tancerka spoglądała na nich z nadzieją.